

marek  
Kochan  
ballada  
o dobrym  
dresiarzu



W SERII Z ZEGARKIEM

**Artur Baniewicz** Góra Trzech Szkieletów

**Artur Baniewicz** Drzymalski przeciw  
Rzeczpospolitej

**Anna Bojarska** List otwarty do królowej  
Wiktorii

**Anna Bojarska** Ja

**Anna Bojarska** Bóg pali cygara

**Anna Bolecka** Concerto d'amore

**Max Cegielski** Apokalipso

**Mariusz Cieślak** Śmieszni kochankowie

**Witold Horwath** Seans

**Grażyna Jagielska** Korespondent

**Krystyna Kofta** Krótka historia Iwony Tramp

**Marek Ławrynowicz** Pogoda dla wszystkich

**Tomasz Mirkowicz** Pielgrzymka do Ziemi  
Świętej Egiptu

**Hanna Samson** Pułapka na motyla

**Jerzy Sosnowski** Apokryf Agłai

**Jerzy Sosnowski** Linia nocna

**Marcin Wolski** Alterland

**Marcin Wolski** Ekspiacja

**Piotr Zaremba** Płama na suficie

marek  
Kochan | ballada  
o dobrym  
dresiarzu

## Meduza

Wesołowski wyszedł spod prysznic i spojrzał na zegarek. Było parę minut po piątej. A więc miał jeszcze trochę czasu. Przeciagnał dłonią po policzku. Drapało. Golił się rano, ale postanowił zrobić to jeszcze raz, żeby jego twarz była na wieczór gładka jak reklama w kolorowym piśmie. Wiedział, że kobiety to lubią, a cała mitologia zarostu jako symbolu męskości była dla nich czymś tak archaicznym, jak zjedanie serca pokonanego wroga, żeby zyskać jego męstwo. One wołały gładkich i Wesołowski chciał być gładki, aby odnieść sukces.

Kiedy skończył golenie, sięgnął do szafki, gdzie miał przygotowaną inną, stępioną już golarkę. Napsikał na dłonie piankę do golenia i nasmarował się od razu pod obiema pachami, po czym zaczął powolnymi ruchami kosić kilkudniowe włoski. Jeszcze tego dobrze nie umiał. Zaczął to robić ledwie parę miesięcy wcześniej. Gdyby ktoś mu rok temu powiedział, że będzie się wygalał pod pachami, Wesołowski wyśmiałby go albo strzelił w pysk.

Czy ja wyglądam na pedala albo transwestytę? – powiedziała by.

Ale czasy się zmieniały i trzeba było za nimi nadążyć, bo inaczej wypadło się z gry.

„Wypaść z gry”. To słyszał bardzo często. Ostatnio parę godzin temu, na roboczym spotkaniu w wydawnictwie.

– Musimy się sprężyć, chłopcy, bo inaczej wypadniemy z gry – powiedział szef od reklamy. – Wiecie, że motoryzacyjne dodatki do dzienników depczą nam po piętach. Dziś rano dostałem poufną informację, że nasza ulubiona gazeta szykuje nową ofertę cenową. Z grubsza polega to na zniżkach za łączenie kampanii zleczanych przez tę samą agencję w jednym czasie. Wiecie, co to oznacza. Polecą nam nie tylko po samochodach, do czego powoli i z bólem przywykamy, ale także po wszystkim, czym dotąd lataliśmy te dziury.

– Od kiedy to wchodzi? – zapytał Wesołowski czy któryś z chłopaków.

– Od jesieni, najprawdopodobniej koniec września – powiedział szef. – Mamy miesiąc z małym kawałkiem, żeby coś zrobić. A biorąc pod uwagę zatwierdzanie mediaplanów, to w ogóle nie mamy czasu. Za parę dni, no dobrze, tydzień, macie mi tu przynieść na stół kilka milionów na jesień. Wychodzi po trzysta-pięćset tysięcy na głowę.

– Szefie, są wakacje. Ludzie powyjeżdżali – kwęknął któryś.

– To dobrze, że są wakacje. Kobitki są rozluźnione, już wypoczęte. Możecie je gdzieś zabrać. Na łódkę, na weekend nad morzem. Gdzie bądź. Już wasza w tym głowa, jak to zrobicie. Od tego was mam, moje

orły. Jeśli nie postaracie się teraz, na jesieni będzie za późno. Wypadniemy z gry.

Sytuacja nie była łatwa. Swoje kontakty motał Wesołowski z pewnym wyprzedzeniem. Nie lubił robić nic na wariata. A jego klienci w większości powyjeżdżali. A raczej powyjeżdżały. Oczywiście, mógł się napiąć, kupić sto jeden róż, paść na kolana, uderzyć w wysokie tony, że musi, że go wyrzuca, że padnie wydawnictwo, że to jeden jedyny raz... Mógł, ale to paliło kontakty. To była ostateczność. Później musiałby zaczynać wszystko od nowa. A w tej pracy ważna była planowość, systematyczność i brak pośpiechu. Jeśli tak, to już lepiej było wymyślić coś nowego, coś ekstra.

Wesołowski zszedł do pokoju, gdzie stało jego biurko. Rzadko tam pracował, bo jego rozmowy były zbyt intymne, żeby dzielić je z kolegami z pokoju. Nie żeby się ich wstydził – oni grali w te same gry. Chodziło raczej o koncentrację. Po co mieli mu utrudniać, peszyć go, rozśmieszać. Dzwonił z domu lub z komórki.

W swoim pokoju trzymał jednak szpargały, którymi nie chciał zagracać małego wynajętego mieszkania. Foldery z seminariów, konferencji, festiwali, stare wizytówki, pisma, notatki o ludziach, całe podręczne archiwum. Zaczął w tym grzebać: kartkować, wywracać szuflady, przeglądać.

– Jest! – wykrzyknął triumfalnie po jakiejś półgodzinie. Rudziak i Leszczyński aż podskoczyli.

– Co, znalazłeś starą prezerwatywę z nasieniem Michaela Jacksona? – zakpił Rudziak.

- Może raczej jego szympansa. To było naprawdę trudne do zdobycia, jest się z czego cieszyć - dołożył swoje Leszczyński.

- Kogo chcesz tym zapłodnić? Szefową reklamy w Benkizerze? Ona i tak wygląda jak małpa - zarechotali obaj.

- Żeby was zapłodnić, pasowałyby chyba nasiona rzeżuchy - odciął się Wesołowski.

- Dlaczego? - Rudziak był trochę mniej lotny i dał się zaskoczyć.

- Bo i tak nic bardziej skomplikowanego nie jesteście w stanie urodzić - zakończył Wesołowski, zamykając biurko. - To na razie, frajerzy, lepiej myślcie, skąd wytrzaśnicie wasze budżety - rzucił za siebie i pobiegł w stronę windy, pogwizdując wesoło.

Tym, co udało mu się znaleźć, był stary bilet wstępu na imprezę, organizowaną przez któreś radio w wielkiej dyskotece na peryferiach Krakowa. Zapisał na nim telefon i namiary na poznaną wówczas dziewczynę, która była nową mediaplannerką w dużej zachodniej agencji reklamowej. Wtedy nie zdążył wykorzystać tego kontaktu. Był przedostatni dzień, miał dużo swoich starych lasek, którym wisiął kawy, kolacje, noce. Poza tym tamta agencja nie miała żadnego klienta, któremu dałoby się wcisnąć reklamę w ich piśmie, nawet naciągając to tak jak zazwyczaj. A teraz skojarzyło mu się, że właśnie oni wygrali ostatnio *pitch* na dużą kampanię banku, który wchodził z nową kartą i ofertą ROR-ów. To były pieniądze, które od biedy mogli wydać u nich. Przynajmniej w części.

Trochę reklama, jakaś wspólna akcja promocyjna, w nagrodę samochód, który Wesołowski by wycygał przez swoje kontakty.

– Wylazińska, Wylazińska, to jest to, czego szukałem, żeby tylko była w Warszawie, musi się udać, musi się udać – mamrotał do siebie.

Na swoje klientki mówił zawsze po nazwisku. Wylazińska, Rumniak, Stelmach. Tak mówił do siebie, w myślach. Bo do nich zwracał się zawsze po imieniu i do tego, kiedy tylko już mógł, pieścizotliwie. Kasiu, Basiu, Aniu, a potem Kasieńko, Basieńko, Anusiu. Oczywiście, kiedy przyszła pora – nie za wcześnie.

A pora na ogół przychodziła dość szybko. Wesołowski miał duże doświadczenie, które zwykle ludzi zaskakiwało przy jego wieku. Miał dwadzieścia trzy lata, z tego prawie trzy działał w branży reklamowej. Ale akurat to doświadczenie zdobył jeszcze wcześniej. Miał je już wtedy, gdy po raz pierwszy przyjechał do Warszawy. Głuszyć panienki nauczył się u siebie, we Władysławowie. Odkąd skończył szesnaście lat, każde wakacje spędzał na plaży, jako ratownik.

Tak, chłopie, nie jest z tobą jeszcze tak źle, nadal wyglądasz całkiem-całkiem – pomyślał Wesołowski, patrząc w lustro na swoje odbicie.

– Ale żeby nie kusić losu, choć kondycja dobra... – powiedział na głos, sięgając do skrytki za lustrem, skąd wyciągnął małe blaszane pudełeczko z chińską maścią.

Wysunął żołądz i delikatnie posmarował czubek członka. Nie można było dać tego zbyt wiele. W ma-

łej ilości maść przynosiła lekkie uwrażliwienie, które ułatwiało erekcję, wywołując ją przy najlżejszym dotyku. Gdyby maści było więcej, po paru godzinach członek zacząłby go palić jak polany wrzątkiem i, co gorsza, palilby tak przez następne parę godzin, niezależnie od zastosowanej terapii.

Ale Wesołowski wiedział, jak to robić. Był zawodowcem. I dlatego musiał być stuprocentowo pewny swojej skuteczności. Co by było, gdyby mu nie stała? Wieść o tym rozniosłaby się szybko. To środowisko było jednak dość małe i lubiło takie pikantne historyjki. Byłby skończony.

Nigdy jeszcze nie zdarzyła mu się wpadka, choć bez cudownej maści pewnie kilka razy byłoby ciężko. Nawet nie wtedy, kiedy dziewczyny, które miał uwieść, były brzydkie. Grube, niezgrabne, o nieładnych rękach. Wtedy nie było problemu. Wesołowski rozumiał ich trudną sytuację. Zdawały sobie sprawę, że są nieatrakcyjne. Każdy ich kontakt z mężczyznami podszyty był niepewnością. A raczej prawie pewnością, że naprawdę nie chodziło o nie, tylko o to, co od nich zależało. Zawsze przyglądały się bacznie i próbowały oddzielić to, co zawodowe, od tego, co stanowiło element gry. Trzeba było się szczególnie starać, żeby wszystko wypadło wiarygodnie. Ale Wesołowski dobrze sobie z tym radził. Ogarniała go jakaś bezrozumna czułość, opiekuńczość wobec tych niechcianych, niedopieszczonych. Swoje seksualne wysiłki traktował jako akt miłosierdzia. To dodawało mu sił.

Znacznie gorzej było z tymi, które były ładne, ale głupie, a przy tym przekonane o własnej inteligencji. Aroganckie, drażniące. Ten typ zdarzał się dość często. Wesołowski musiał wtedy bardzo się mobilizować, wkładać dużo silnej woli. Żeby nadskakiwać, oblać, udawać zainteresowanie, gdy najchętniej strzełyby taką zolżę w głupi pysk.

Taka była Będzik. Basia Będzik. Szefowa reklamy u dużego dilerza koreańskich aut. Miała do wydania duże pieniądze, o których decydowała sama, bez pośrednictwa agencji. Wesołowski musiał, po prostu musiał ją urobić. Była ładna i bardzo zgrabna. Miała piersi, miała usta, miała nogi. Miała wszystko, co trzeba. Ale była też bezgranicznie głupia. Na siłę starała się z każdym zaprzyjaźnić, a potem zaraz częstowała swoimi mądrościami, wyczytanymi w kobiecych miesięcznikach. Przy tym mówiła zawsze z obezwładniającą pewnością, kategorycznie, jakby jakikolwiek inny pogląd był niemożliwy, absurdalny.

No i miała swoje wielkie szpony, pomalowane zawsze jaskrawoczerwonym lakierem. Tymi pazurami poorala mu całe plecy, piszcząc przy tym jak kotka podczas wycinania jajników. Musiał co chwilę przerywać, wychodzić z niej i podczas dopieszczania językiem Basiowej cipki poprawiać ręką sztywność swojego narzędzia pracy, które wędło mu jak stara marchewka.

Wtedy maść ocaliła go przed klęską, a Basi Będzik uratowała życie, bo, był pewien, gdyby mu się nie udało, udusiłby ją poduszką.

Na szczęście Wylazińska, z którą się dziś umówił, wyglądała sympatycznie. Była jednym z tych pogodnych kaszalotów, niegroźnych pasztetów w okularach, które przyjechały do Warszawy z małego miasta i dopiero po roku wymieniały garderobę na modniejszą, a okulary na szkła kontaktowe. Pewnie kończyła historię sztuki albo polonistykę i gdyby nie załapała się w reklamie, byłaby nauczycielką w liceum. Musiała czytać Paulo Coelho albo przynajmniej Whartona.

Kiedy zadzwonił do niej tuż przed dwunastą (nigdy nie dzwonił później, bo wtedy ludzie zaczynają być głodni, źli i myślą tylko o lanczu), poznała go od razu. Nie musiał nawet przypominać okoliczności, w jakich się poznali.

- Wiem, pamiętam, Kraków - wymieniła nazwę dyskoteki.

Wesołowski wytłumaczył się jakoś głupio, że dzwoni dopiero teraz, ale nie było to potrzebne.

- To co? - zawiesiła głos.

- No, może pójdziemy coś zjeść, powspominamy Kraków...

Teraz była najtrudniejsza chwila. Do niego należało zaproponowanie lokalu. Knajpy, w których się bywało, stanowiły sekretny kod, służyły do rozpoznawania ludzi, którzy są na topie. Kto bywał w złych knajpach, a raczej nie bywał w tych, w których wypadało bywać, był przegrany. Kompromitował się, wypadał z obiegu.

Raz był tego bliski. Trzy lata temu, kiedy po raz pierwszy pojechał do Krakowa, ktoś go zagadnął podczas rozmowy:

- Gdzie byłeś wieczorem, nie widziałem cię w Blue Boksie?

Wesołowski już miał na końcu języka pytanie, co to jest ten Bluboks, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Miał intuicję i ona go uratowała. Być może jego kariera właśnie wtedy by się zakończyła albo nigdy by się nie rozpoczęła.

- Nie poszedłem, bo poprzedniej nocy przegiałem z pićiem i musiałem się chwilę przespać. Żeby być w formie na dzisiejszy wieczór - powiedział sprytnie, choć poprzednią spędził w innym klubie, nie tym, w którym powinien być, nie z tymi ludźmi co trzeba.

Najgorsze, że modne miejsca szybko się zmieniały. Trudno było nadążyć. Co jeszcze wczoraj było szczytem snobizmu, nazajutrz wywoływało tylko pogardliwe wydęcie warg. Tak jak Blue Box, który i tak dość długo, bo kilka sezonów, był w modzie, by się w końcu zużyć i stać się tym, czym wcześniej: dyskoteką dla dresiarzy.

Ludzie ze środowiska reklamy nazywali to, przez analogię do cyklu życia produktu, cyklem życia knajpy. Ilustrowała go krzywa, przypominająca kształtem krzywą Gaussa. Faza wzrostu, faza dojrzałości, faza schodzenia. Ta trzecia oznaczała upadek. To było jak karuzela, z której należało zaraz wysiadać, jeszcze zanim zatoczyła pełne koło.

A przy tym nie było jednej, powszechnie uznawanej hierarchii. Różne środowiska miały swoje toplisty, z których każda wewnątrz własnego środowiska była absolutnie obowiązująca. Kłopot polegał na tym, żeby

wiedzieć, która toplista obowiązywała w danym momencie.

Tego Wesołowski nie wiedział. Wylazińska pracowała w jednej z największych agencji, ale po stroju, na ile zapamiętał, wyglądała na osobę, która jest w mieście od niedawna. No i była tylko mediaplanerką, co w hierarchii agencji nie oznaczało zbyt wysokiej pozycji. A więc niekoniecznie znała top-toplistę. Istniało więc ryzyko, że jeśli Wesołowski zaproponuje knajpę z tego topu-topu, nie będzie jej znała. To też byłoby niezręczne. Wprawdzie mógłby wtedy grać rolę cicerone, ale jednocześnie dla drugiej strony byłoby to trochę niekomfortowe. A taki drobny dyskomfort mógł być przyczyną zerwania kontaktu, tej cienkiej nitki, na której końcu, jak ogromny balon, unosił się kilkumilionowy budżet kampanii. Nos Wesołowskiego pokrył się kropkami potu.

- To co, może Meduza? - zaproponował.

Odpowiedziało mu dwusekundowe milczenie.

- Wiesz, tam przy Mokotowskiej, w podwórku - dodał szybko.

- Tak, tak. Ale dlaczego właśnie Meduza? Rozumiem, że ty będziesz Perseuszem, ale ja wobec tego kim? Andromedą? Ateną? Może Danae?

Wesołowski nie rozumiał, o co jej chodzi, ale z brzmienia głosu wyczuł, co może odpowiedzieć.

- No, Danae to raczej nie.

- Więc kim? A może Meduzą?

- Nie, no co ty - odpowiedział zmieszany. - Okaże się wieczorem.

- No to do zobaczenia. O siódmej. Pa! - zakończyła Wylazińska i odłożyła słuchawkę tak szybko, że nie zdążył odpowiedzieć na pożegnanie.

I miał problem. Przygotowywał się tak starannie, żeby zabić w sobie niepewność. Czemu zakończyła tak szybko? Chciała go wyrolować, wystawić do wiatru? I ta dziwna godzina: siódma. Zawsze umawiał się albo o szóstej, zaraz po pracy (ale wtedy z co najmniej jednodniowym wyprzedzeniem), albo o ósmej, z zawinięciem do domu przed spotkaniem. A teraz siódma. I ta chwila milczenia po tym, jak zaproponował Meduzę.

Oczywiście, to wszystko mogło być bez znaczenia. Mogła umówić się wcześniej, bo mieszkała blisko, albo mogła wyjść wcześniej z pracy. Mogła się zaważyć, bo nie znała knajpy albo dawno w niej nie była i musiała sobie przypomnieć.

No i o co jej chodziło z tą Meduzą? Coś mu się kojarzyło z Grekami, ale nie potrafił sobie przypomnieć żadnych szczegółów. A nie miał kogo zapytać.

A może...

Przed tą myślą Wesołowski uciekał jak mógł.

Nakremował się, wypachnił, nażelował włosy i wziął się za sprzątanie. Nie wiedział nic o Wylazińskiej i musiał się liczyć z tym, że wieczór skończy się u niego. Dlatego musiał dopracować wszystkie szczegóły. Mieszkanie było jego narzędziem pracy, jak penis. Czy raczej odwrotnie - narzędziem, ale o dokładnie przeciwnej funkcji. Było kryjówką, w której chowali się spragnieni miłości kochankowie. Do jej

przytulnego wnętrza zapraszał swoje mediaplanerki i specjalistki do spraw reklamy. A one potem, wbrew wyliczeniom o kosztach dotarcia do tysiąca sztuk targetgrupy, wciskały nieznanym się na rzeczy mocodawcom reklamę w jego piśmie, powtarzając uzasadnienia, które im szeptał na ucho w knajpie przy deserze, a przed tym, co miało być dalej. Mieszkanie było niezbędnym ogniwem tego łańcucha i dlatego wynajął tę cholernie drogą, dopieszczoną przez właściciela kawalerkę z widokiem na kolumnę Zygmunta, falliczny pomnik, który wywoływał właściwe skojarzenia i robił właściwe wrażenie („ale masz tu super”).

W szlafroku, powoli, żeby się nie spocić, odkurzał metodycznie wszystkie kąty i kątki, ułożył włochatą narzutę na sofie, poukładał kolorowe pisma na półce, schował część pod łóżko, a inne wyłożył na wierzch, żeby były dobrze widoczne.

Dużo czytał. Jego praca była bardziej intelektualna, niż mogłoby się wydawać. W dziennikach wynajdywał nowinki gospodarcze, szukał analiz rynku i podglądał, kto, jak i co reklamuje. Dotyczyło to nie tylko dodatków motoryzacyjnych, ale wszystkich wydań. Prasę branżową czytał, żeby wiedzieć, kto przymierza się do wydawania pieniędzy na reklamę, a także dla zdobycia świeżych informacji o ludziach: kto co robi, gdzie się przenosi lub awansuje. Czytał też trochę o kulturze, żeby przy głośzeniu łatwiej robić wrażenie gościa na poziomie, no i głębiej podrażnić tematy, które były na topie – głównie filmy. Wreszcie śledził wszystkie ważniejsze miesięczniki kobiece, te z wyż-

szej półki. Nasiąkał językiem, żeby łatwiej się dogadywać z ich czytelniczkami, mieć wspólne tematy, wiedzieć, czego oczekują. Kiedy parę miesięcy wcześniej wyczytał w jednym z takich pism, że powinien golić się pod pachami, zaraz zrobił z tej informacji użytek, co, zauważył, zostało już parę razy docenione.

Dobrze byłoby sprawdzić z tą Meduzą, myślał, ale takich książek nie miał w domu, a było już za mało czasu, żeby szukać po bibliotekach.

Porządkowanie nie przynosiło mu ulgi. Wciąż stawał sobie w myślach pytanie: o co chodzi z tą Meduzą i co mogło być nie tak w samej knajpie?

A jeśli stało się to, co podejrzewał, czego się zawsze obawiał, jeśli ten dialog był początkiem jego końca? Jeśli stanął na równi pochyłej i właśnie zaczynał się staczać, wypadać z obiegu?

Przecież zawsze dotąd się udawało. Meduza była pewniakiem, jedyną bezpieczną knajpą, która zawsze była na fali. Zawsze trochę była, ale i trochę nie była modna, i to dawało jej szczególne przywileje. Nigdy nie zdobyła statusu knajpy top-top, ale dzięki temu była zawsze rozwiązaniem do przyjęcia. W gruncie rzeczy mało kto ją znał. Ci, co znali, byli zadowoleni z przynależności do elitarnego grona bywalców. Ci, którzy jej nie znali, zaproszeni pierwszy raz, czuli się wyróżnieni.

Dlatego proponował ją zawsze, kiedy nie był pewien, jaki wariant wybrać. Meduza była jego dżokerem. Zawsze pasowała. Czyżby coś się zmieniło?

Zdenerwował się, wykonał zbyt gwałtowny ruch, zachwiał się, oparł o regał, regał zachwiał się i ze

środkowej półki upadło na podłogę i stukło się zdjęcie Anki, jego dziewczyny z Władysławowa.

- Kurwa mać! - krzyknął w bezsilnej złości. - Pierdolony pech! Kurrrrrwa!

To już na pewno była zła wróżba.

Anka była jego największym oparciem. Przecież dla niej robił to wszystko, zarabiał pieniądze, żeby kupić tu mieszkanie, ściągnąć ją do siebie, pobrać się. To dla niej nadludzkim wysiłkiem ciągnął zaoczne studia, żeby kiedyś, w przyszłości, znaleźć inną pracę i zacząć normalne życie. Tylko ją naprawdę kochał i dzięki temu uczuciu w oblepiającym go szlamie pozostawał w swoim mniemaniu czysty.

Zdjęcie Anki stało zawsze na półce i ostatnim aktem przygotowań było schowanie go na dno walizki, żeby nie znalazła żadna, nawet najbardziej wścibska klientka. To było jego sakrum. Teraz sakrum spadło na podłogę i potłukło się, i wiedział, że nie da się tego naprawić, bo nie było tam ramki, zdjęcie zostało odbite wprost na szkło.

Wypił coś zimnego, posprzątał odłamki, trzęsącymi się jeszcze trochę rękami wybrał z szafy odpowiednio modne ubranie, upewnił się, że w lodówce jest alkohol, i wyszedł.

Alfa Romeo uspokoiła go. Dobrze, że właśnie teraz dostał ją na tydzień do testowania. Alfa 156. To było coś. Z dobrym autem czuł się pewniej, a teraz bardzo tego potrzebował. Z miłością podotykał przycisków. Zaszumił silnik i auto miękko wytoczyło się z parkingu na ulicę.

Jechał Krakowskim, próbując przypomnieć sobie jakieś kawały czy dowcipne historyjki na pierwsze minuty rozmowy, zanim spotkanie się rozkręci. Przy Koperniku spojrzął w prawo na okna dziennikarstwa. Jeśli zda we wrześniu jeden egzamin, z którym nie wyrobił się w sesji, będzie na czwartym roku. Kiedy przyszedł do pracy w wydawnictwie, szef obiecał, że jak wytrzyma w dziale reklamy pięć lat, znajdzie mu robotę w redakcji. Właśnie wtedy miał skończyć studia.

Dwa lata. Muszę wytrzymać jeszcze dwa lata. I wszystko się ułoży.

Myśli przelatywały mu przez głowę jak samochody, które wyprzedzał, niepotrzebnie gazując. Zwolnił dopiero przy wylocie Książęcej na plac Trzech Krzyży. Wjechał w Mokotowską, zaparkował najbliżej, jak się dało, przeszedł przez podwórko i już był w Meduzie.

Była za piętnaście siódma. Zamówił colę i bezmyślnie gapił się w wiszące na środku sali pod sufitem plastikowe monstrum.

Dlaczego to jest, do kurwy nędzy, zielone? Że niby jakiś pojeb-artysta miał taki odłot, żeby zrobić ją zieloną.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to właśnie miała być ta Meduza. Meduza? Meduzy, które znał, były bez koloru. Od biedy dało się powiedzieć, że te flaki w środku były trochę brązowe, czasem różowe czy fioletowe.

Takie meduzy znał z Bałtyku. Nie lubił ich, choć wzbudzały raczej jego litość i współczucie niż obrzy-

dzenie. Co to za los być meduzą? Unosić się przez krótki czas w przybrzeżnej wodzie, najdłużej, jak się da, balansując pomiędzy życiem a śmiercią, gdy zbyt wysoka fala wyrzuci ją na brzeg, żeby tam zgniła w piasku, rozdeptana czy wypalona słońcem.

Przypomnił sobie, że właśnie teraz jest czas meduz. Druga połowa sierpnia. Ile to miało trwać? Dwa, trzy tygodnie? Dla jednych trochę dłużej, dla innych może już było po ptakach.

Patrzył i patrzył na plastikowe monstrum, i nagle zaczął się go bać. Odwrócił głowę, ale potem znów tam spojrział, jakby jakaś przemożna siła ściągała jego wzrok do góry. Meduza też miała oczy. Wielkie fioletowe gały, które wywalały się na niego spomiędzy włochatego zielonego cielska. Wesołowski zeszywniał.

Siedział zwrócony do wejścia, ale nie patrzył już na drzwi. Wylazińskiej nie było, musiałby ją zauważyć, gdyby wchodziła. Kątem oka udało mu się spojrzeć jeszcze na zegarek. Dwadzieścia po. Ile mogła się spóźnić w ramach tego układu: kwadrans, może pół godziny. Czy coś się stało? Bo nie korki, o tej porze nie ma już korków.

Kiedy przyszła dziewczyna z tacą, nie odwracając głowy zamówił jeszcze jedną colę. Kelnerka przyniosła ją, a wtedy Wesołowski wypił zawartość szklanki jednym haustem, bo czuł, że zasycha mu w gardle.